

# Okrutne dzieci

Jose Triana: „Wieczór zbrodniarzy”. Sztuka w 2 aktach.  
Przekład: Gustaw Koliński. Scenografia: Zofia Wierchowicz.  
Prapremiera w Sali Prób Teatru Dramatycznego m. st. Warszawy.

Teatr Dramatyczny zaprezentował stołecznym widzom pierwszą chyba grana w Polsce sztukę kubańskiego pisarza. Jest nią „Wieczór zbrodniarzy” Jose Triany, który otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie krajów Ameryki Łacińskiej (Casa de las Americas) w Hawanie w roku 1965.

Jest to sztuka napisana na pewno przez utalentowanego dramaturga, który pewnie włada piórem, zna teatr, umie posługiwać się jego efektami, zręcznie konstruuje dialog, pragnie zaciekawić widzów. Problemy formy fascynują go jednak tak bardzo, że nieraz popada w efekciarstwo, używając różnych chwytów i trików bez konieczności, a czasem nawet bez potrzeby. Temat staje się więc u niego niekiedy sprawą drugorzędną, sprawność rzemiosła i technika — sprawą najważniejszą.

Problem „Wieczoru zbrodniarzy” nie jest ani nowy, ani oryginalny. Ta sztuka ukazuje nam piekło mieszczańskiego życia rodzinnego, dom, w którym duszą się dzieci, nienawidzące rodziców, żyjących ze sobą w tradycyjnych męczarniach nudy i konwenansu. Zapolska napisała na ten temat swą genialną komedię o rodzinie Dulskich i wbrew pozorom nowoczesności nie jest wcale tak daleko z domu Dulskich do tej kubańskiej rodziny. Jakby to się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Tylko że „Wieczór zbrodniarzy” jest oczywiście tragedią a nie komedia, a Jose Triana uczył się w różnych szkołach, które stały się modne już po śmierci Zapolskiej. Trójka dzieci odgrywa przed nami historię domniemanego mordu, popełnionego na rodzicach, przy czym jak u Pirandella zaciera się granica między fikcją a rzeczywistością, każde z tej trójki raz jest sobą, to znowu odtwarza szereg innych postaci. Mamy więc na scenie całą prawie encyklopedię współczesnego teatru, którego alfabetem autor posługuje się z wirtuozeria zrecznością.

Tylko, że to wszystko jest już wtórne wobec nowych prądów artystycznych i spóźnione. Bo cóż ma nam do powiedzenia sztuka Triany? Że życie rodzinne w mieszczańskim (czy nie w mieszczańskim) świecie jest koszmarem? Że dzieci nienawidzą rodzi-

ców, a ci nie mogą wytrzymać ze sobą? To wszystko już było. I choć „Wieczór zbrodniarzy” kończy się optymistycznym akcentem, apelem do miłości, która pomoże przewyciężyć zło, to jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że oto pokazuje się nam jeszcze jeden utwór z „czarnej serii” których już nam tyle pokazano.

Niezależnie jednak od oceny samej sztuki trzeba mówić z uznaniem o pracy teatru. Przedstawienie wyreżyserowała bardzo dobrze WANDA LASKOWSKA, nadając mu szybkie, ostre tempo, potęgując napięcie, cyzelując dialog i pewną ręką prowadząc aktorów. Spośród trójki, występującej na małej scenie Sali Prób Teatru Dramatycznego pragnę wyróżnić przede wszystkim pełną wyrazu HALLINĘ DOBROWOLSKĄ, aktorkę niedocenianą i zbyt rzadko obsadzaną w dobrych rolach na terenie Warszawy. Pamiętamy ją z Wrocławia, gdzie należała do czołówek aktorskiej tego miasta. W „Wieczorze zbrodniarzy” miała pole do popisu i wykorzystala tę szansę. KATARZYNA LANIEWSKA, aktorka bardzo utalentowana, czula się gorzej w umownej konwencji tej sztuki i tego spektaklu. Woli ona budować swe postacie sceniczne w sposób bardziej realistyczny, mniej estradowy, bardziej teatralny w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Najlepsza była też w drugim akcie, kiedy zagrała przejmująco postać matki okrutnych dzieci, zawiedzionej w małżeństwie, bardzo władczej, lecz przy tym nieszczęśliwej. Opowieść o życiu tej kobiety była jednym z najpiękniejszych fragmentów przedstawienia. MACIEJ DAMIECKI wykazał w kilku wcieleniach, jakie prezentował na scenie, że jest aktorem zdolnym, który czuje się już bardzo swobodnie na scenie, dziedzicząc godnie wielkie tradycje aktorskie swej rodziny. On z kolei czuł się najlepiej w roli młodego zbuntowanego chłopca, którego przytłacza stęchła atmosfera domu rodzinnego. Bardzo ciekawie zagrał jednak także rolę swojego własnego ojca.

Najwięcej zastrzeżeń mam do scenografii ZOFII WIERCHOWICZ. Sama w sobie interesująca, nie licowała jednak, moim zdaniem, z charakterem sztuki, utrudniając jej odbiór. Tekst zabrzmiał by chyba znacznie bardziej przekonująco, gdyby sztuka rozgrywała się w zwyczajnym pokoju, lub na zagrancyjnym stryszku, gdzie bawia się okrutne dzieci, a nie w jakiejś metafizycznej rupieciarni, nje umiejscowionej ani w czasie, ani w przestrzeni.

ROMAN SZYDŁOWSKI

1967